

**Wywiad z ks. Waldemarem Chrostowskim przeprowadzony przez uczniów
Szkoły Podstawowej Nr 49 z Oddziałami Integrycyjnymi im. Stefana Kardynała
Wyszyńskiego – Prymasa Tysiąclecia w Białymstoku należących do Koła
Przyjaciół Patrona**

- Jaki był pierwszy kontakt Księdza Profesora z Księdzem Prymasem Stefanem Wyszyńskim?

– Pierwszy kontakt miał miejsce zanim jeszcze Księdza Prymasa po raz pierwszy spotkałem. I myślę, że ten kontakt był najważniejszy i w jakimś sensie przełomowy dla tego, co się później wydarzyło. To była druga połowa lat pięćdziesiątych. Wtedy ze swoją Mamą – miałem sześć lub siedem lat – pojechałem do Łomży. Tam, w sklepie przy katedrze, Mama kupiła fotografię Księdza Prymasa, który niedawno został uwolniony z uwięzienia. Oczywiście, okoliczności uwięzienia nie brałem wtedy pod uwagę, rozumiałem je dopiero później. Mama oprawiła tę fotografię w ostrołęce w brązowe ramki i powiesiła nad moim łóżkiem w domu w rodzinnym Chrostowie. Tak więc od dziecka, w dzień i w nocy, Ksiądz Prymas mi stale towarzyszył. Mogłem na niego patrzeć i zawsze wydawał mi się bardzo bliski, jak ktoś z rodziny.

Kiedy w 1964 roku ukończyłem szkołę podstawową, pojechałem do Warszawy, aby podjąć naukę w liceum, kontynuowaną do 1968 roku. Tam najbardziej brakowało mi właśnie tej fotografii. Atmosfera domu rodzinnego kojarzyła mi się zawsze z nią i mam ją do dzisiaj – wisi nad łóżkiem w moim warszawskim mieszkaniu. Kiedy patrzy na nią ktoś postronny, może to mu się wydawać bardzo błahe, ale dla mnie takie nie jest, ponieważ kojarzy się z dzieciństwem. Fakt, że przez całe lata „opatrzyłem się” z twarzą Księdza Prymasa, sprawił, że kiedy już mogłem go osobiście spotkać, od samego początku wydawał mi się bardzo, bardzo bliski. Miałem też wrażenie, że Ksiądz Prymas tę bliskość mi odwzajemniał. Nie odczuwałem wobec niego żadnego skrępowania ani jakiegóż oficjalności, bo od dzieciństwa był w moim domu nie tylko gościem, lecz domownikiem. Z tego wypływa bardzo ważny wniosek: nie jest bez znaczenia, jak urządzamy swoje mieszkanie, jak wygląda nasz rodzinny dom, ponieważ w życiu dorosłym powrót do dzieciństwa odbywa się poprzez skojarzenia, które uznajemy za ważne i które nas głęboko kształtują.

Pierwsze osobiste spotkanie z Księdzem Prymasem miało miejsce w 1971 roku, kiedy, jako klerycy warszawskiego seminarium duchownego, pojechaliśmy do Gniezna na uroczystości ku czci św. Wojciecha. Właśnie podczas tych uroczystości po raz pierwszy z nim rozmawiałem, a później wielokrotnie spotykałem go w seminarium duchownym. Czasami przybywał z Agostino Casarollim, przedstawicielem Ojca Świętego Pawła VI do spraw Kościoła na Wschodzie. Przybywał też sam, aby poznać tych, którzy przygotowują się do kapłaństwa w jego diecezji. Zawsze promieniował serdecznością i wzbudzał wielkie zaufanie.

Później moje kontakty z Księdzem Prymasem były częstsze, najpierw po otrzymaniu święceń kapłańskich w 1976 roku, a potem w czasie studiów w Rzymie.

- W książce „Bóg, Biblia, Mesjasz” wspomina ksiądz, że kardynał Wyszyński wiele razy księdzu pomógł.

- To, co było decydujące, miało miejsce pod koniec studiów seminaryjnych. Był rok 1974. Pomijam wszystkie okoliczności tego, co się wtedy wydarzyło, gdyż były dość skomplikowane. W okresie wakacji byłem bardzo zaangażowany w pracę z młodzieżą w tzw. oazach. Wyjeżdżaliśmy do Krościenka nad Dunajcem i tam pełniłem różne funkcje, m. in. zaopatrzeniowca. Pewnego razu pewien „przypadkowo” spotkany mężczyzna powiedział, że moje zaangażowanie jest za duże, że powinienem dać sobie spokój z tą pracą. Kiedy mu odpowiedziałem dosyć szorstko, rzekł, że to oni „rozdają karty”. To był początek kłopotów, które miałem po powrocie z wakacji do seminarium. Nasiliły się, gdy jesienią prowadziłem lekcje religii nieopodal Zalewu Zegrzyńskiego. Pojawiły się donosy, których sprawdzanie, niestety, nie wchodziło w rachubę. W grudniu rektor seminarium dał mi do zrozumienia, że do święceń kapłańskich nie dojdzie. Na szczęście byłem już diakonem. Wtedy decydująca okazała się interwencja Księdza Prymasa, który tę decyzję zmienił. Przez prawie półtora roku pracowałem w parafii Budziszewice, w pobliżu Tomaszowa Mazowieckiego, jako diakon. Później, przed święceniami, kiedy przykra sytuacja się powtórzyła, Ksiądz Prymas definitywnie wziął sprawy w swoje ręce. Pod koniec serdecznej osobistej rozmowy zapytał: „Chcesz być księdzem?”. Odpowiedziałem: „Chcę”. – „To nim będziesz!”

Był to niezwykle trudny czas w moim życiu, gdyż nie wyobrażałem sobie, że mogę być kimś innym niż księdzem. Ksiądz Prymas doskonale to zrozumiał. Mogę powiedzieć z całą stanowczością, że to jemu zawdzięczam sakrament kapłaństwa. Nie tylko w tym sensie, że to on udzielił mi święceń kapłańskich 6 czerwca 1976 roku, lecz i dlatego, że nie dopuścił, aby rozmaite przeszkody i trudności uniemożliwiły mi bycie kapłanem. Ostatnie słowo należało do niego. Mogę powiedzieć – nie chcę, żeby to zabrzmiało ani zbyt zdawkowo, ani zbyt wzniośle – że Ksiądz Prymas jest w najpełniejszym tego słowa znaczeniu moim ojcem. Zawdzięczam mu to, kim jestem.

- Czyli działalność księdza wśród młodzieży poczytano jako złą i to był główny powód trudności w dojściu do kapłaństwa.

– Do końca nie znam wszystkich okoliczności ani ich nie dochodziłem, bo tak naprawdę mnie nie interesowały. Każdy kleryk był obserwowany. Jeżeli któryś wyróżniał się pracą, zwłaszcza z młodzieżą, często preparowano różne donosy, a władze seminaryjne nie zadawały sobie trudu, żeby je sprawdzać. Myślę, że tu właśnie widać doskonałe rozeznanie Księdza Prymasa, który dwadzieścia lat wcześniej był więziony i znał intrygi rozmaitych służb. Widział, jak na

rozmaite sposoby wikłano ludzi. Z tego powodu przywiązywał większą wagę do tego, co mówi człowiek, którego to dotyczy, niż do tego, co ktoś inny o nim opowiada albo donosi.

- Czy mógłby ksiądz opowiedzieć o innych ważnych spotkaniach z naszym patronem?

– W latach 1976 – 1978 byłem wikariuszem w parafii Świętej Trójcy w Ząbkach pod Warszawą. To był czas posoborowy, kilkanaście lat po II Soborze Watykańskim. Czas rozmaitych nowych inicjatyw. Proboszcz, ksiądz Tadeusz Karolak, zorganizował jeden z pierwszych w Polsce synodów parafialnych. Podsumowanie synodu miało miejsce wiosną 1978 roku w obecności Księdza Prymasa Stefana Wyszyńskiego. Podczas Mszy św. wygłaszałem coś w rodzaju podsumowania i homilii. Po uroczystościach Ksiądz Prymas zapytał, co chciałbym w przyszłości robić. Odpowiedziałem bez wahania, że chciałbym studiować bibliystykę. Zapytał: „Gdzie?”. Odpowiedziałem: „W Rzymie”. Ksiądz Prymas odparł: „Dobrze. Chcesz, to będziesz”. To było decydujące. Musimy pamiętać, że w tamtych czasach było inaczej niż dzisiaj. Od tej decyzji wszystko zależało, łącznie z otrzymaniem paszportu i utrzymaniem w Rzymie. Ksiądz Prymas – mogę to powiedzieć, abstrahując od własnej sytuacji – ufał ludziom i umiał uszanować człowieka takim, jaki on jest. Nie było w nim nawet cienia zazdrości, która nie pozwoliłaby temu, który jest obok wzrastać i dojrzewać. Przeciwnie, kiedy doszedł do wniosku, że ten człowiek do czegoś się nadaje, czynił wszystko, żeby rozwijać jego potencjalne możliwości. Tak było i ze mną, za co jestem mu bardzo wdzięczny.

Później miałem jeszcze wiele spotkań z Księdzem Prymasem. Mogę opowiedzieć o niektórych, na przykład taką anegdotę: Do Rzymu przyjechałem 26 sierpnia 1978 roku. To był dzień wyboru papieża Jana Pawła I. Pamiętam tłum zgromadzony na Placu św. Piotra i entuzjazm Włochów. Z początkiem września zamieszkałem w Papieskim Instytucie Polskim w Rzymie na via Pietro Cavallini, gdzie zawsze zatrzymywał się też Ksiądz Prymas. Wcześniej, przed wyjazdem do Włoch, wysłałem pocztą paczkę, w której była m. in. sutanna. Wydawało mi się, że do września dojdzie. Okazało się, że nie – być może z powodu jej zawartości. Tak więc chodziłem ubrany w tzw. krótki strój kapłański (a były to czasy inne niż dzisiaj, księża chodzili raczej w sutannach). Pewnego dnia, podczas posiłku rektor instytutu, ksiądz infułat Franciszek Mączyński, mówi do Księdza Prymasa: „Widzi, kogo przysłał? Nawet sutanny nie ma!” Kardynał Wyszyński na to: „Nie ma? To jest poważny brak!” Do mnie zaś powiada: „Nie martw się, coś z tego będzie. Ksiądz rektor ci na pewno na tę sutannę da pieniądze albo ci ją sam kupi”. Na co rektor: „Nie, nie! Paczka wysłana, to na pewno przyjdzie! Zaczekamy, zaczekamy!”. Ta sytuacja pokazuje zwyczajne ludzkie spojrzenie i poczucie humoru Księdza Prymasa.

Kardynał Wyszyński miał w sobie coś, co jest rzadkie u osób ważnych w hierarchii kościelnej. Miał czasami spojrzenie chłopca, który chce spłatać figla. Działo się to w sprzyjających temu sytuacjach, w momentach rozluźnienia. Oczywiście, nie robił tego w stosunku do słabszych od siebie, bo nie na tym to miało polegać. Płatał figle tym, którzy sami siebie uważali

za ważnych. Miał wtedy figlarny uśmiech, z którego wynikało, że zaraz sytuacja, choćby najbardziej kłopotliwa, zmieni się na lepsze. Zachował tę umiejętność do końca swego życia. Zachował też świeżość w ocenie drugiego człowieka, w spojrzeniu na rozmaite sprawy, zwłaszcza sprawy bardzo ważne.

Kilka dni później (licząc od dnia rozmowy o sutannie) Ksiądz Prymas wybierał się z powrotem do Polski. Było to 8 września. Wtedy dokonał wpisu do książki wydanej w 1969 roku w Stanach Zjednoczonych dla uczczenia Tysiąclecia Chrztu Polski. Wpis brzmi tak: „Drogiemu księdzu Waldemarowi Chrostowskiemu błogosławi na pracę w Rzymie, na Instytucie Biblijnym, z życzeniami, by uniknął błędów, których ja nie zdołałem uniknąć. + Stefan Wyszyński, Roma, 8 XII 1978”. Jakże zobowiązująca to dedykacja i jakże pokorna! Wielki Prymas Tysiąclecia, człowiek, który cierpiał dla Chrystusa, który był internowany, który był obrazem Polski i polskości za granicą, napisał o błędach, których nie zdołał uniknąć... Nie znam nikogo, kto jest tak pokorny! Ten wpis pokazuje prawdziwą twarz Księdza Prymasa, jego pokorę. Jest w nim też zawarta doza czułości i dobroci, która onieśmiela i zobowiązuje.

Wtedy, gdy rozpoczynałem studia, gdziekolwiek powiedziało się we Włoszech „Polonia”, to natychmiast słyszało się: „Wyszyński! Wyszyński!”. Nie było żadnych innych skojarzeń. Polonia to Wyszyński!

Pod koniec września 1978 roku zmarł papież Jan Paweł I. Kilka dni później Ksiądz Prymas znowu przyjechał do Rzymu. Widać było wyraźnie jego żal, smutek i zaskoczenie. Zauważyłem, że modlił się więcej, niż wcześniej. Był poruszony tym, co się wydarzyło. Najbardziej utkwiła mi w pamięci scena, kiedy to na dzień przed konklawe do naszego Instytutu, gdzie mieszkał także Ksiądz Prymas, przybył kardynał Karol Wojtyła. Podczas obiadu Ksiądz Prymas zaczął mówić o śmierci Jana Pawła I oraz o tym, że jego dzieło trzeba podjąć i kontynuować. W imieniu, które sobie przybrał, zawierały się imiona dwóch poprzedników: Jana XXIII i Pawła VI. Następnie Ksiądz Prymas malował sylwetkę przyszłego papieża. Było to długie i dość osobiste przemówienie. Zakończył je słowami, że nowy papież to będzie Jan Paweł II, który nadal będzie kontynuował rozpoczęte dzieło. Kardynał Wojtyła słuchał tych słów (głowę miał opuszczoną na piersi, nogi wyciągnięte pod stołem). Słuchał i słuchał, po czym obaj wstali i wyszli. Nazajutrz udali się na konklawe...

W poniedziałek 16 października 1978 roku świat obiegła wieść, że papieżem został kardynał Karol Wojtyła, który przybrał imię Jan Paweł II. Wtedy nastąpił zwrot w życiu kardynała Wyszyńskiego. Do tej pory czuł się jedynym odpowiedzialnym za to, co się dzieje w Kościele w Polsce. Czuł, że cały ciężar przewodzenia spoczywa na jego barkach i zdawał sobie sprawę z odpowiedzialności, która z tego wynika. Był ikoną Polski na całej Europie. Wtedy sporo podróżowałem. W Holandii, Belgii, Francji i Włoszech słyszałem jedno: „Polonia?” – „Wyszyński!”, „Pologne?” – „Wyszyński!”. W 1978 roku taką ikoną stał się Jan Paweł II.

Wybór papieża-Polaka to była niezwykle poruszająca chwila. Kiedy Ksiądz Prymas wrócił po konklawe do Instytutu, widać było, że jakby zdjął z siebie jakiś ciężar. Muszę przytoczyć pewną rozmowę, którą wtedy z nim odbyłem. Powiedziałem: „Chyba Ksiądz Prymas czuje się trochę jak Jan Chrzyciel?”. – „A dlaczego tak myślisz?”. – „On przygotował drogę dla Jezusa, a Ksiądz Prymas dla Jana Pawła II”. – „Wiesz, ty masz rację. Mój czas już jest skończony”. Powiedział to z poczuciem ogromnej ulgi.

Kiedy mówimy o kardynale Stefanie Wyszyńskim, trzeba podkreślić coś, co, niestety, nie jest dostatecznie podkreślane, a odbywa się to też z wielką krzywdą dla Polski. Chodzi o słowa, które wypowiedział Jan Paweł II w tydzień po konklawe, 23 października 1978 roku: „Czcigodny i umiłowany Księżu Prymasie! Pozwól, że powiem po prostu, co myślę. Nie byłoby na Stolicy Piotrowej tego papieża-Polaka, który dziś pełen bojaźni Bożej, ale i pełen ufności rozpoczyna nowy pontyfikat, gdyby nie gdyby nie było Twojej wiary nie cofającej się przed więzieniem i cierpieniem, Twojej heroicznej nadziei, Twojego zawierzenia bez reszty Matce Kościoła, gdyby nie było Jasnej Góry i tego całego okresu dziejów Kościoła w Ojczyźnie naszej, który jest związany z Twoim biskupim i prymasowskim posługiwaniem”. To jest klucz do historii Polski! Nie byłoby Jana Pawła II bez kardynała Stefana Wyszyńskiego! Kto tego nie rozumie – niczego nie rozumie, albo, co częstsze, celowo chce zakłamać najnowszą historię Polski.

Pontyfikat Jana Pawła II jest w całości osadzony w prymasowskiej posłudze kardynała Wyszyńskiego. Zwróćmy uwagę na drogę Karola Wojtyły: mając lat 38 został biskupem, mając lat 47 – kardynałem (dziś najmłodszy polski kardynał liczy sobie siedemdziesiąt lat), a gdy miał 58 lat, został wybrany papieżem. Wszystko to działo się w okresie, gdy prymasem Polski był kardynał Stefan Wyszyński. Gdyby nie jego cierpienie, mądrość, zdecydowanie, roztropność i osobista świętość, to z pewnością nie byłoby Jana Pawła II. Dlatego, kto chce zrozumieć historię Polski w XX wieku, to kluczem są dwie postacie: kardynał Stefan Wyszyński i Jan Paweł II.

- Różne środowiska chciały skłócić prymasa Wyszyńskiego z innymi duchownymi, m. in. z kardynałem Wojtyłą.

– Niechęć czy wręcz wrogość do Księdza Prymasa była spowodowana tym, że on nie pozwalał zaistnieć ludziom miałkim, ani rozmaitym karierowiczom. Wyraźnie im przeszkadzał, a oni nie mogli tego znieść. Niestety, istnieli wszędzie, również w Kościele. Otwartych przeciwników miał Ksiądz Prymas w tych, którzy ogólnie byli wrogami Boga i Kościoła – i wcale tego nie ukrywali. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku przybrała na sile swoista walka o „rząd dusz”. Wielu ówczesnych reformatorów, którzy w latach pięćdziesiątych doszli do władzy, chcieli reform, owszem, ale reform w obrębie partii komunistycznej. Nie mówili: „Komunizm – nie!”, „Partia – nie!”, tylko: „Inna partia”, „Inny komunizm”. Tymczasem Ksiądz Prymas był zdecydowanie przeciw komunizmowi i jego partii. Dlatego ci ludzie nie mogli liczyć ani na jego poparcie, ani na naiwność z jego strony,

bo doskonale znał ich intencje i cele. Podczas uroczystych obchodów w 1966 roku Tysiąclecia Chrztu Polski, Ksiądz Prymas ożywił patriotyzm i pobożność polską poprzez Wielką Nowennę, która do nich przygotowywała. Ci wszyscy, którzy chcieli „ożywiać” komunizm i partię, patrzyli więc wrogo na niego i na podniosłe obchody, bo przeszkadzały w umacnianiu systemu komunistycznego.

Z drugiej strony pod parasolem Kościoła kryli się ludzie, którzy z Kościołem nie mieli wiele wspólnego. Ale korzystali z ochrony i pozycji, jaką prymas Polski miał w Europie i na świecie. Mimo to o prymasie Polski plotkowano, rozpowszechniano fałszywe informacje i, niestety, nie czynili tego komuniści. Robili to również ludzie, którzy należeli do Kościoła, bądź pozostawali na jego obrzeżach. Część tej wiedzy do dziś jest niewygodna, więc się ją utajnia lub przemilcza. Na przykład fakt, że podczas II Soboru Watykańskiego udawały się do Rzymu delegacje, które oskarżały Księdza Prymasa przed dykasteriami Stolicy Apostolskiej i chciały, aby papież pozbawił prymasa prerogatyw, jakie posiadał, a mianował nuncjusza, na którego można byłoby wywierać większy wpływ (osoby wchodzące w skład tych delegacji stały się w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych prominentami). Na szczęście Paweł VI miał dobre rozeznanie. Ksiądz Prymas znał autorów tych donosów i zachowywał się wobec nich z godnością. Jednak oni długo i zawzięcie robili wszystko, by pomniejszyć jego osobę i rolę. Myślę, że to również jest pełniejsze tło, z powodu którego krótko przed śmiercią wypowiedział znamienne słowa: „Całe moje życie było jednym Wielkim Piątkiem”.

- Często przeciwstawiano i nadal przeciwstawia się prymasowi Wyszyńskiemu kardynała Wojtyłę. Mówi się, że kardynał Wojtyła był młody i nowoczesny, a prymas Wyszyński staroświecki, maryjny i że propagował katolicyzm ludowy.

– A co złego jest w tym, że Ksiądz Prymas był maryjny? Czy Jan Paweł II nie był maryjny? Jeżeli słuchamy takich głosów, musimy je dokładnie przeanalizować. To, co bywa stawiane jako zarzut, stanowi właściwie zaletę i zasługę. Niestety, w propagandzie niechęci wobec Księdza Prymasa prawda bywała zupełnie wypaczana. To, że kardynał Wojtyła był młodszy od prymasa o 19 lat, nie było zasługą przyszłego papieża ani problemem dla kardynała Wyszyńskiego. Każdy z nich był inny. Jeden urodził się i wychował na Mazowszu, drugi w Małopolsce. Jedno zasługuje na podkreślenie: jeżeli ujmijemy to w kategoriach czysto świeckich i nazwiemy karierą, to kariera Karola Wojtyły była niebywała! Bardzo szybko został biskupem, arcybiskupem i kardynałem. To świadczy, że prymas Wyszyński, od którego zależały takie nominacje, nie szukał ludzi dokładnie takich samych, jak on. Pozwalał żyć, działać o dopuszczał do sprawowania wysokich urzędów osoby, które się od niego różniły.

Kardynał Wyszyński nie uprawiał takiego stylu duszpasterstwa, do którego należały wspólne wyjazdy na kajaki czy fotografowanie się z przyjaciółmi w lesie. Styl duszpasterstwa kardynała Wojtyły był bardzo, nazwijmy to, „otwarty”, ale z tego wcale nie wynika, że styl duszpasterstwa prymasa Wyszyńskiego był „zamknięty”. Obaj mieli ze sobą wiele wspólnego, co widać zwłaszcza w dowartościowaniu pobożności ludowej. Ksiądz Prymas słusznie

powiedział, że to, iż Kościół w Polsce trwa i katolicyzm coś znaczy, zawdzięczamy nie inteligentom, z których wielu koniunkturalnie odwróciło się od wiary, ale zwyczajnym, prostym kobietom, które w najtrudniejszym czasie pod figurką, pod kapliczką i pod krzyżem, wypraszały siłę dla swoich dzieci i wnuków. To jest głęboka prawda. Kościół przetrwał w latach pięćdziesiątych, sześćdziesiątych i siedemdziesiątych nie dzięki tej czy innej gazecie, która miała w tytule słowo „katolicka”, nie dzięki temu czy innemu tygodnikowi, bo ich nakłady były mizerne, a treść nie zawsze wzniosła, lecz dzięki milionom wiernych, którzy niezłomnie odpowiadali na apele prymasa Wyszyńskiego i brali udział w Wielkiej Nowennie jako wielkiej moralnej odnowie narodu polskiego, oraz w peregrynacji wizerunku Matki Bożej Częstochowskiej do wszystkich polskich parafii i katolickich rodzin. Ci wierni obronili i odrodzili pobożność i dbali, żeby znaki tożsamości chrześcijańskiej były wszędzie tam, gdzie to możliwe. Na tych właśnie ludziach kardynał poległ, wiedząc, że się nie zawiedzie – i to się sprawdziło.

- Jak Ksiądz Prymas odnosił się do różnych szybko wprowadzanych zmian w liturgii po II Soborze Watykańskim?

– Ksiądz Prymas wykazał mnóstwo zdrowego rozeznania oraz jeszcze więcej cierpliwości i wielkiego taktu. Sobór Watykański II (1962-1965) wprowadził reformy, których wdrażanie w życie było naprawdę bolesne. Dam jeden przykład. Językiem powszechnym w Kościele była łacina, wobec tego w każdym seminarium uczono tego języka. Msza św. była sprawowana po łacinie. Gdy w 1978 roku pojechałem do Rzymu, to nie znając jeszcze włoskiego, rozmawiałem po łacinie z księżmi, którzy pochodzili z różnych krajów. Wprowadzenie do liturgii języka narodowego skutkowało tym, że, po pierwsze, osłabiło lub zupełnie zniszczyło znajomość łaciny, po drugie, duchowni stracili ze sobą wspólny język. To są duże problemy. Wierni teraz rozumieją tekst modlitwy – to dobrze. Jednak niemałemu zachwianiu uległo poczucie jedności Kościoła łacińskiego, który w takim swoim kształcie istniał przez ponad półtora tysiąca lat. Byli tacy, którzy tych kilkanaście wieków chcieli „załatwić” w kilka miesięcy gwałtownych reform. Ksiądz Prymas odpowiedział: Nie!” To było niezwykle mądre! W Polsce wdrażanie soborowych reform liturgicznych trwało kilkanaście lat. Czy to długo? Już pod koniec lat siedemdziesiątych mieliśmy do dyspozycji Mszalę po polsku, lecz wszystko działało się stopniowo.

Nie bez znaczenia jest i to, że pewna część (wcale niemała!) reformatorów Kościoła chciała go nie tyle oczyścić, ile „przeoczyścić”. Tym osobom często nie zależało na duchowym dobru Kościoła, tylko na przeforsowaniu swoich własnych koncepcji i interesów, z których część miała po prostu Kościół osłabić. Nie możemy się oszukiwać, że wszystkie naciski na zreformowanie i szybkie wprowadzanie zmian pochodziły z sumiennej troski o Kościół. Kiedy obserwuje się tamte zjawiska z perspektywy czasu, widać wyraźnie, że chciano zrealizować wizję Kościoła złożonego z małych wspólnot, a więc rozproszonego i osłabionego. Tymczasem Kościół w Polsce miał i nadal ma charakter masowy. Nie da się go sprowadzić do

grupy kilkunastu osób, które się wzajemnie adorują i twierdza, że do tego potrzebują Pana Jezusa. Kościół żyje w tysiącach i milionach ludzi, dlatego trzeba liczyć się z masowym odbiorem każdej reformy. Ksiądz Prymas miał pod tym względem wspaniałe wycucie. Brało się ono stąd, że wywodząc się ze zwyczajnej polskiej rodziny, znał dobrze duszpasterskie potrzeby wiernych. Wyrabiał swoje pojęcie o Kościele nie na podstawie doniesień gazet i nacisków medialnych, ale na klęczniku. I to mu pozwalało również krytycznie czytać gazety i reagować na sugestie reformatorów.

- Co jakiś czas pojawiają się w niektórych gazetach, szczególnie w „Gazecie Wyborczej”, teksty o rzekomym antysemityzmie Prymasa.

– „Gazeta Wyborcza” patrzy na prymasa niesprawiedliwie i krzywdząco, a chodzi tu nie tyle o osobę kardynała Stefana Wyszyńskiego, ile o wizję powojennej historii Polski. Chodzi również o rzeczywiste przyczyny i prawdziwą naturę tzw. wydarzeń marcowych 1968 roku, które są o wiele bardziej złożone, niż twierdza dziennikarze tej gazety.

Kiedy w latach 1979/1980 studiowałem na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie, wyjechaliśmy na wykopaliska archeologiczne do Yoqneam koło Hajfy. Był lipiec 1979 roku. Tam spotkałem pewnego Żyda, właściciela małego pawilonu spożywczego. Okazało się, że wyjechał z Polski do Izraela. Wcześniej był kierownikiem sklepu meblowego przy ul. Grójeckiej w Warszawie. Ten człowiek pytał mnie codziennie z wielkim sentymentem o Warszawę właśnie. Zapytałem go, dlaczego wyjechał, skoro tak bardzo kocha to miasto i za nim tęskni. Odpowiedział: „Gmina kazała”. Nie od razu to zrozumiałem. Dopytując, dowiedziałem się, że chodzi o gminę żydowską w Warszawie. Tak więc w 1968 roku część wyjazdów do Izraela następowała, gdyż ludzie pochodzenia żydowskiego tracili posady w wyniku partyjnej rozgrywki pomiędzy frakcją „narodową” a „międzynarodową” (zwyciężyła frakcja „narodowa”). To jedna przyczyna. Druga była taka, że zaledwie kilka miesięcy wcześniej Izrael zajął terytoria Autonomii Palestyńskiej, rozszerzył swoje granice, zajął Jerozolimę Wschodnią i potrzebował „świeżej krwi”, czyli ludzi wykształconych i po przeszkoleniu wojskowym. Żydowskie gminy w diasporze poczuły się zobligowane do wsparcia potrzeb w utworzonym w 1948 r. państwie żydowskim. Niektórzy musieli wyjechać z nakazu gminy, żeby podkreślić też solidarność z wyjeżdżającymi – to był właśnie casus mojego rozmówcy.

O tym wszystkim prymas Wyszyński doskonale wiedział. Miał kontakty z osobami, które posiadały dobre rozeznanie w tym, co dzieje się w partii komunistycznej i w środowiskach żydowskich. Wiedział, że nie może zaangażować się po jednej stronie, bo by się skompromitował. Patrzył na te wydarzenia trzeźwo i z różnych perspektyw. To właśnie mają mu za złe jego przeciwnicy, którzy chcieliby przyporządkować go konkretnej orientacji czy frakcji politycznej oraz zdominować i zinstrumentalizować. Można to było robić – i robiono – z innymi prominentnymi osobami, ale nie z Księdzem Prymasem. Z tego powodu jest

nie lubiany w środowiskach narzucających „poprawność polityczną”, ale jeśli człowiek chce być sobą, nie może liczyć na poklask i komplementy.

- Prymasowi zarzucano, że nie wystosował żadnego oficjalnego listu w sprawie wydarzeń marcowych.

– Prymas zawsze kierował się własnym rozeznaniami, a decyzje podejmował po uprzednim przemyśleniu i modlitwie. Największą szkodą, jaką można wyrządzić Kościołowi, jest podpowiadanie mu z zewnątrz, co ma robić. Jest to specjalność tych, którzy do Kościoła nie należą. Nie jest to w interesie Kościoła ani Kościołowi nie służy, tylko go demoralizuje. Ksiądz Prymas nigdy nie ulegał podszeptom z zewnątrz i nie pozwolił forsować poglądów szkodliwych dla Kościoła. Był wielkim polskim patriotą. Miał szacunek dla każdej kultury, a co się tyczy lokalnej kultury żydowskiej, postrzegał ją jako część kultury polskiej – jak kamyczki w wielkiej mozaice polskości.

- Czy mógłby ksiądz powiedzieć coś na temat procesu beatyfikacyjnego prymasa Wyszyńskiego?

– Jestem przekonany o świętości i wielkości kardynała Stefana Wyszyńskiego, natomiast od kanonicznego stwierdzenia świętości są inni – i niech to robią. Osobiście uważam, że ta beatyfikacja powinna się odbyć już dawno. Uważam też, że kolejność beatyfikacji powinna być następująca: kardynał Stefan Wyszyński, Jan Paweł II, ksiądz Jerzy Popiełuszko, bo również zrozumienie tego fenomenu, jakim był ksiądz Jerzy, zwłaszcza w ostatnich latach jego życia, jest niemożliwe bez kardynała Wyszyńskiego. Biorąc to wszystko pod uwagę uważam, że bardzo dobrze się stało, iż proces beatyfikacyjny kardynała Wyszyńskiego doczekał się szczęśliwego sfinalizowania. Dla mnie osobiście jest on człowiekiem świętym, a jego wielkość jest niepodważalna.

- Bardzo dziękujemy za rozmowę.